

Ostrzegał mnie ojciec, gdy skrzydła majstrował,
Przed lotem na własny rachunek.
Lecz cel mój - świst myśli - zagłuszył te słowa
I ścięgną naciągnął, jak strunę.
Więc w górę! - Nad głowy, nad stropy, nad ziemię!
W poszumie stroszących się piór!
Najwyższą świątynię zamyka sklepienie,
A ja - nad sklepieniem! Wskroś chmur!

Wołają - ślepota! Wołają, że pycha!
A ja ramionami w dół niebo odpycham
I chwytam w źrenice ogromy oddali,
Gdzie wszystko jest małe i wszyscy są mali!
Ich rozgwar pochłania
Fanfara cisz -
Im - lecieć w otchłanie,
Mnie - wzwyż!

Ich miasto - płat kory w labirynt poryty,
Co - martwy - od pnia się odkruszył.
Ich państwo - garść wysp dryfujących w błękity,
Istnienie ich - trucht karaluszy.
Chmur karki pokorne rozpędzam rozpędem,
Gdzieś za mną wiatr wyje jak pies;
Nie pytam o drogę, dróg szukać nie będę -
Ja sam jestem drogą za kres!

Wołali - ślepota! Wołali, że pycha!
A ja ramionami w dół niebo odpycham,
Strop światła rozbijam i jestem za kresem,
Pomiędzy bogami! Nad nimi już lecę,
Rwę skrzydła piorunem
Fanfarę cisz -
I kosmos w dół runął!
Ja - wzwyż!

Skrzydlaty i nagi, wśród światła okruszyn,
W igrzyska wpatruję się boże;
Ich uczty i walki - jak trucht karaluszy,
Ich Parnas - labirynt na korze...
Nie widzą mnie, krążąc wokoło jak słońca,
- Mgławicą nieludzkich lic -
Aż któryś mnie żarem niechcący potrąca
I zrzuca bezwiednie - w nic.

Na ciemnym tle nieba wypalam ślad jasny,
Mój ślad - już ostatni, przelotny, lecz własny
I spadam kometa, chwilowym płomieniem
Być może spełniając tym czyjeś marzenie
I lecę wśród cisz -
Ja - żar - drążę ziąb
I wszystko mknie wzwyż,
A ja - w głąb.